Maria Wichowa

Jerzy Starnawski (27 II 1922–9 XI 2012)

DOI: <http://dx.doi.org/10.12775/LC.2015.010>

Profesor Jerzy Starnawski urodził się w Guzówce na Lubelszczyźnie 27 lutego 1922 roku jako syn Tadeusza i Marii z Kuczyńskich. W roku 1931 jego rodzina przeniosła się do Lublina. W mieście tym chodził do Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego, gdzie w roku 1939 zdał maturę. Przez trzy lata był uczniem wybitnego polonisty dr. Ludwika Kamykowskiego. Po wybuchu wojny został powołany do wojska. Internowany, przebywał w niemieckich obozach jenieckich Witzendorf, Zeven i Sandbostel. W kwietniu 1944 roku powrócił do Lublina. W latach 1944–1948 studiował polonistykę w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W grudniu 1949 roku doktoryzował się na podstawie dysertacji *Słowacki – epistolograf*. W roku następnym podjął pracę w KUL, a w roku 1964 przeniósł się do Uniwersytetu Łódzkiego. W UŁ był zatrudniony najpierw na stanowisku docenta, od roku 1974 profesora nadzwyczajnego, a następnie od 1981 roku profesora zwyczajnego. W uczelni tej stworzył najpierw Zakład, a później Katedrę Literatury Staropolskiej i Nauk Pomocniczych. Równolegle w latach 1975–1984 pracował na pół etatu w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie. Po przejściu na emeryturę był zatrudniony przez kilka lat na tzw. części etatu w UŁ, a następnie w Mazowieckiej Wyższej Szkole Pedagogiczno-Humanistycznej w Łowiczu (2003–2007).

Był wybitnym uczonym o wielkim dorobku, znanym i cenionym w środowisku slawistów i neolatynistów w całej Europie. Jego dorobek liczy ok. 1200 artykułów, recenzji, edycji nieznanymi utworów wydobytych z rękopisów, listów znanych postaci i innych tekstów. Zostawił po sobie ok. 50 książek. Jako autor *Warsztatu bibliograficznego historyka literatury polskiej* jest znany wszystkim polonistom, a przynajmniej tym średniego i starszego pokolenia.

Należał do kilku towarzystw naukowych: Towarzystwa Naukowego KUL, Lubelskiego Towarzystwa Naukowego, Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Przemyśle (gdzie był wieloletnim redaktorem zeszytów „Literatura i Język «Rocznika Przemyskiego»”). Należał także do Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Zamościu, Towarzystwa im. Marii Konopnickiej oraz

**Jerzy Starnawski:
uroczystość
dziewięćdziesiątych
urodzin**

(Łódzkie Towarzystwo
Naukowe; 27.02.2012;
fotografia ze zbiorów
Marii Wichowej)

Towarzystwa Literackiego im. Mickiewicza. W roku 1967 został przyjęty do Łódzkiego Towarzystwa Naukowego – przez kilka kadencji przewodniczył Wydziałowi I Językoznawstwa, Nauk o Literaturze i Filozofii. Był członkiem honorowym ŁTN. Znakomicie organizował prace Wydziału, redagował „Sprawozdania z Czynności i Posiedzeń ŁTN”. W roku 1992 został członkiem korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności, a w roku 1997 członkiem czynnym. Przez kilka lat przewodniczył Komisji do Badania Dziejów Polskiej Nauki o Literaturze przy Komitecie Nauk o Literaturze PAN. Za swą twórczość naukową był uhonorowany nagrodami Rektora UŁ, nagrodami Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Został odznaczony Krzyżem Kawalerskim i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Otrzymał także medal Komisji Edukacji Narodowej.

Prywatnie był człowiekiem skromnym, choć miał świadomość wagi swojego dorobku i pozycji w świecie naukowym. Jestem jego uczennicą i najbliższą współpracownicą. Znałam go bardzo dobrze jako człowieka „prywatnego”, przeżyliśmy razem wiele dobrych i złych chwil, w sumie czterdzieści lat. Oto kilka obrazków z życia Profesora, które są bardzo charakterystyczne dla jego osobowości.

Pierwsze wspomnienie łączy się z moim pobytem w szpitalu. Mistrz odwiedził mnie w tym przybytku boleści, gdy byłam po operacji i na czas jakiś przewidywałam przerwę w badaniach. Podczas toczącej się przy moim łóżku rozmowy przedstawił mi kolejne propozycje współpracy. Mówił o tym, że wielu ważnych projektów już nie realizuje ze względu na upływ czasu, ubytek sił witalnych. W tym kontekście przytoczył pierwszy wers utworu Adama Asnyka *Gdybym był młodszy*, ja zacytowałam kolejne. Profesor ucieszył się, że przystąpiłam do tej intelektualnej zabawy. Przy okazji powiedział mi, że coraz rzadziej przedstawiciele mojego pokolenia stają w takie szranki (bo ze znajomością literatury jest coraz gorzej), że mało kiedy zdarza mu się zażywać takiej intelektualnej przyjemności.

Pamiętam sytuację, kiedy ubawiłam się setnie, obserwując w pewnej wojewódzkiej bibliotece rozmowę Mistrza z „wymagistrzoną” przez niego (tego określenia używał nagminnie) pracownicą tej instytucji, która to pani prosiła swego promotora, aby rozstrzygnął, czy cenna książka, przechowywana w zbiorach, jest aby na pewno starodrukiem. Profesor z kamienną twarzą poszedł na zaplecze i wydał ekspertyzę, że to bez wątpienia starodruk. Spojrzeliśmy na siebie dyskretnie i zrozumiałam, że oboje jesteśmy dobrze ubawieni kłopotami owej pani. Jednak Mistrz nie dał jej poznać, że się po prostu skompromitowała.

Innym razem, gdy odwiedziłam go w domu, już jako emeryta, powiedziałam mu, że zatrudniłam się dodatkowo w łódzkiej Wyższej Szkole Humanistyczno-Ekonomicznej. Zwierzył mi się, że otrzymał propozycję pracy w tej uczelni, która, jak mi wiadomo, profesorom tytularnym oferowała bardzo dobre warunki płacowe. Mimo to zdecydowanie odmówił. Wyjaśnił mniej więcej tymi słowami: „Mam jeszcze tyle do powiedzenia. Chcę to napisać w moich pracach”. Szkoda mu było czasu na dydaktykę w szkole o nienajlepszej renomie. Jej siedziba mieści się w odległości 10 minut pieszo od domu Profesora. Wolał swój cenny czas poświęcić pracy naukowej.

Jako bardzo prywatną ciekawostkę z życia Mistrza opowiem historyjkę o guziku. Otóż był taki czas, że żona Profesora, Teresa Starnawska, rok w rok wyjeżdżała porą jesienną do sanatorium. Wiedziałam o tym dokładnie, bo kontakty mieliśmy bardzo częste. Spotkaliśmy się na posiedzeniu naukowym ŁTN, byłam tam zaproszona jako gość. Referent zanudzał nas niemilosiernie, co wyraziście odzwierciedlało się na twarzy Mistrza. W pewnym momencie prelegent mówił swoje głośno, Profesor do mnie na ucho (też głośno). Pyta: „Co robisz jutro?” Otrzymał naganne, karcące spojrzenie, więc zakończył konwersację ustną, ale kontynuował w formie pisemnej. Otrzymałam karteczkę takiej mniej więcej treści: „Droga Marysiu, mam do ciebie wielką prośbę, musimy się jutro spotkać. Gdzie — to zależy od aury. Jeśli będzie ciepło, przyjeżdż na 9:00 rano do mnie do domu. Jeśli będzie chłodno, to w bibliotecę (czyli BUŁ), wtedy zabierz igłę i nici. Jak wiesz, żona wyjechała do sanatorium”. Odpisałam: „Zgoda” i zachodziłam w głowę, w czym ja mam ją zastąpić. Aura okazała się biblioteczna, więc o 10:00 byłam w szatni BUŁ, profesor dużo wcześniej, już zdążył zamówić książki do czytelní. Zapytał rzeczowo i krótko: „Masz?” Odpowiedziałam: „Tak”. Wobec tego Profesor poprosił szatniarza o wydanie na chwilę swego płaszcza i zaczął mi tłumaczyć, że trzeba przyszyć guzik: pojutrze wyjeżdża za granicę, więc nie może pokazywać się w płaszczu bez guzika. Chciałam zabrać się od razu do przyszywania go, ale Profesor szukał dla mnie odpowiedniego miejsca pracy. Zrobiło się małe widowisko. Zadaniu sprostalam, okrycie ponownie zostało oddane do szatni. Przy okazji zauważyłam, że jest trochę wyświechtane. Zapytałam delikatnie, czy musi koniecznie ubrać się akurat w ten trenz (o wyświechtanym przodzie głupio mi było mówić wprost). Na co Profesor z pełną powagą: „Tak mi poleciła żona i niczego nie będę zmieniać”. W tej sytuacji dalsza rozmowa była bezprzedmiotowa.

Jerzy Starnawski kochał książki, kupował ich bardzo dużo, przez co zgromadził wspaniałą bibliotecę. Jego mieszkanie jest szczelnie wypełnione książkami, w każdym miejscu do tego się nadającym stoją regały. Raz obserwowałam scenkę, bardzo charakterystyczną dla bibliofilskiej namiętności Profesora. Otóż kiedyś na konferencji w IBL PAN dostrzegłam, że Mistrz nie śledzi tego, co dzieje się na sali obrad. Widziałam, że z zadowoleniem, z dumą posiadacza cennego łupu przeglądtał książkę. Zauważyłam, że to starodruk. Obok szczęśliwego nabywcy siedział (wówczas doktor) Andrzej Litwornia, również znakomity kolekcjoner i bibliofil, niestety, na jego twarzy widać smutek podszyty zazdrością. Obaj byli

zgodni co do tego, że to znakomity zakup. Twarz Profesora jaśniała szczęściem, nową książkę pieśczośliwie kartkował. W przerwie zapytałam go o zakup. Okazało się, że to *Rozmowy Artakseasa i Ewandra* Lubomirskiego (z 1683 r.). Litwornia poprzedniego dnia oglądał ten egzemplarz w antykwariacie, nie miał przy sobie potrzebnej gotówki. Postanowił dokonać transakcji następnego dnia. Starnawski zaś przyszedł po nim, miał wystarczającą ilość pieniędzy, więc kupił od ręki. Wtedy, na sali IBL, zrzucił codzienną maskę szefa, stoika pozornie obojętnie patrzącego „na rozmaite świata tego sprawy”, i wprost promieniał radością.

Profesor był człowiekiem towarzyskim. Często gościł mnie w swoim mieszkaniu, ale nie byłam wyjątkiem wśród jego asystentów. Przynosiliśmy do jego domu rozdziały doktoratów, gdy chorował, przychodziliśmy z administracyjnymi sprawami Katedry. Co roku pojawiałam się 23 kwietnia na imieninach z kwiatami. Zawsze wręczaniu ich towarzyszyła mi udzielana przez solenizanta reprimenda. Mianowicie oświadczał, że nie jest primadonną z teatru, żeby obsypywać go kwiatami. Parę dni przed wizytą zapowiadał surowo, że mnie zaprasza, ale mam się stawić „z gołymi rękami”. Ja co roku łamałam zakaz, najczęściej przynosiłam białe lilie, Profesor je w końcu przyjmował, pani Teresa wstawiała do zawsze tego samego, zabytkowego wazonu, po czym zasiadaliśmy do kawy i było bardzo miło. Solenizant nawet czasem zerkał z uśmiechem w stronę tych kwiatów.

Po przejściu Profesora na emeryturę nasze więzi bardzo się zacieśniły, ogromnie się zaprzyjaźniliśmy. Często mówił, również publicznie, że traktuje mnie z żoną jak przybraną córkę. Cieszyłam się jego zaufaniem, często zbierało mu się na zwierzenia osobiste, opowiadał mi szczegółowo o tym, jakie prace ma na warsztacie, często „zamawiał” u mnie różne artykuły do prac zbiorowych, które redagował, i do „Rocznika Przemyskiego”. Miał świadomość wyjątkowości swojego dorobku, ale nie obnosił się z tym, był bezdyskusyjnie wielki, ale zarazem skromny. Jak każdy wybitny człowiek miał wokół siebie ludzi niechętnych sobie czy wręcz wrogich. Bardzo boleśnie przeżywał ich ataki i doznawane od nich przykrości. O tych niegodziwościach mówił mi ze szczegółami i cierpiał z tego powodu.

Jako osoba zaprzyjaźniona z Mistrzem odwiedzałam go w Nałęczowie, do którego wyjeżdżał z żoną w ciągu niespełna dwudziestu lat. Zawsze mieszkał w Pałacu Małachowskich, gdzie był dobrze znany i szanowany. Kiedyś zaproponowałam, że przyjadę z córką samochodem, pomieszkamy kilka dni gdzieś w prywatnej kwaterze, a następnie wrócimy razem. Profesor był zadowolony z takiego postawienia sprawy, ale zastosował wobec mnie fortel. Mianowicie zarezerwował nam pokój w Pałacu Małachowskich i mało tego, opłacił, co mnie bardzo krępowało. Aby historia się nie powtórzyła, w roku następnym mieszkaliśmy z córką w Kazimierzu i dojeżdżaliśmy do Nałęczowa.

Aby uzmysłowić jego życzliwość oraz wręcz opiekuńczość, pozwolę sobie zacytować obszerny fragment listu – 6 lipca 2005 roku pisał m.in.:

Jesteśmy w Nałęczowie dwunasty raz. Aż do r. 2003 włącznie wszystko było po domowemu. Pieniądze za pokój przyjmował portier, u niego się zamawiało itd. W roku ubiegłym już nie było po domowemu. A w roku bieżącym jest cała machina administracyjna. Portiera nie ma, jest szatniarz kawiarni od g. 10:00 rano, ale on nie wynajmuje pokoi. Klucze bierze się w recepcji szpitala kardiologicznego i tam się opłaca, ale uzgadnia się wszystko z kierownikiem, którego niełatwo schwycić. Wszystko jednak się udawało i zostało załatwione. My z żoną mamy pokój do 10 VIII włącznie, dla Was będzie pokój obok naszego w dn. 6–10 VIII.

Skoro, Marysiu, przypominasz o Turobinie (za co Ci bardzo dziękuję), planuję Turobin 8 VIII, bo to poniedziałek, a więc dzień bezmuzealny. Natomiast, jeśli będzie ładna pogoda, po-

jedziemy do Turobina via Szczepieszyń do miejscowości zwanej Susiec. Tam są wodospady, nazywane w tutejszym języku Szumy. Jeśli będzie ładna pogoda, możecie mieć ze sobą stroiki kąpielowe, bo tam można się wykąpać. Czy macie mapę samochodową? — Dobrze byłoby mieć. Poza tym będzie oczywiście Kozłówka. Myślę też o jednej innowacji, ale nie wiem, czy się uda. Gdy do Lublina wjedzie się szosą warszawską (nie nałęczowską), jest na Sławinku skansen. Tam pracowała przez wiele lat bliska mi uczennica, która zaczęła pracę magisterską pod moim kierunkiem w Lublinie, a zakończyła w Łodzi po moim przeniesieniu się. Jeśli ona nie wyjedzie w sierpniu na jakieś wczasy, oprowadzi nas po tym skansenie. Są jeszcze do dyspozycji dni: niedziela i wtorek, więc obmyślimy, co jeszcze. Może Kazimierz? Puławy? Zwolen? Czarnolas? To wszystko na miejscu zdecydujemy. Będziemy w kontakcie. A w sobotę 6 VIII jesteście oczekiwane.

Serdeczności od nas obojga
J. St.

Wyjazd bardzo się udał. Pojechaliśmy do Turobina, gdzie spoczywają rodzice i brat Mistrza. Przejeżdżaliśmy przez Guzówkę — miejsce jego urodzenia. Program zarysowany w liście został w pełni zrealizowany.

W czasie tej wycieczki Profesor starał się też być pilotem kierowcy. W tej roli wypadł fatalnie, bo nie znał znaków i przepisów drogowych. Denerwował się, że moja córka nie respektuje w pełni jego wskazówek, ona zaś musiała przecież postępować zgodnie z przepisami. Śmiał się jednak serdecznie, gdy pobłądził w rodzinnym Lublinie i wyjechaliśmy na jakąś nieznaną mu drogę za miastem.

Był niecierpliwy z natury. Chciał, żeby wszystko, na czym mu zależało, stało się od razu: natychmiast dostarczyć mu książki do czytelni, napisać artykuł, pojechać do biblioteki, rozwiązać naukową zagadkę. Pamiętam, jak mu zależało na tym, aby po wykładzie napić się w swoim gabinecie kawy, której był smakoszem. Włączyłam więc czajnik, woda się zagotowała, Profesor nie przyszedł. Jak się okazało, z kimś się zagadał, pojawił się trochę później. Natychmiast zażądał wrzątku. Irytował się, że musi chwilę poczekać, bo przecież jeszcze musi kogoś przyjąć, gdzieś zatelefonować. Nie słuchał, że sam sobie winien, bo przyszedł po czasie. Miałam wrażenie, że nie postępował w normalnym rytmie, lecz gnał, pędził. Narzucił sobie wielką dyscyplinę, bardzo oszczędzał czas, który w największej części przeznaczał na pisanie prac naukowych. Opowiadał mi kiedyś, jak o czymś najzwyklejszym w świecie, że podczas przeprowadzki z Lublina do Łodzi pisał „na walizkach” jakiś artykuł, żeby dotrzymać zadeklarowanego terminu ukończenia pracy.

Na temat oszczędzania czasu krążyły dowcipy. Złośliwi studenci opowiadali, że umawiał się w pociągu z Łodzi do Warszawy na egzamin, który kończył się przed Koluszkami. Jest to oczywista nieprawda. Niegdyś mu o tej złośliwości opowiedziałam, śmiał się z takich studenckich żartów. Natomiast prawdą jest, że w pociągu: czytał, sprawdzał rozdziały itp. Był egzaminatorem o umiarkowanych wymaganiach, ale wśród studentów uchodził za surowego. Egzamin rozpoczynał o 7:00 rano, kończył wieczorem. Zdający opowiadali niestworzone rzeczy na temat tego, co przeżyli podczas egzaminu, oczywiście ci, którzy go nie zdali. Humor studentów miał się lepiej niż ich wiedza.

Ta dyscyplina czasowa procentowała tym, że z każdego wyjazdu zagranicznego wracał z łupem naukowym, z materiałem na artykuł lub książkę. Nawet w czasie krótkich podróży na konferencje naukowe zaglądał do bibliotek. Miał wielką łatwość pisania. Pracował bardzo intensywnie oraz wytrwale. Dosłownie całym sobą. Pracę naukową traktował jako najszlachetniejszą formę ćwiczenia umysłu, a uniwersytet uważał za świątynię wiedzy i wielokrotnie wyrażał tę opinię w słowie drukowanym.

Trudno o Profesora powiedzieć, że znał się na ludziach – często po czasie przyznawał, że się pomylił w stosunku do kogoś, zawiódł się, rozczarował. Bywało, że zamiast wdzięczności spotykał się z nielojalnością lub wrogością, szczególnie wtedy, gdy bezpardonowo mówił o niskim poziomie naukowym niektórych publikacji czy doktoratów. Nieraz byłam świadkiem, jak dramatycznie przeżywał ataki na siebie. Za swoją największą pomyłkę uważał przekazanie Katedry w ręce kogoś, kto dzieło Profesora zniweczył, prawie całkowicie wymieniając zespół, zaprzestawszy kontynuowania przez lata prowadzonych badań. Szkoła Starnawskiego się rozpadła, łódzka neolatynistyka legła w gruzach. *Nomina sunt odiosa*, szerzej tego wątku nie rozwijam, choć przeprowadziłam na ten temat z Mistrzem wiele szczerych rozmów.

Profesor Starnawski, jak każdy człowiek, miał pewne dziwactwa. Był proekologiczny, bardzo oszczędzał papier, przynajmniej kilku dorodnym drzewom darował życie – dzięki pisaniu na kartkach, karteluszach pochodzących „z odzysku”. Był znany z tego, że nawet pisma urzędowe, w tym recenzje prac magisterskich, pisał na kartkach małego formatu, czasem na połowie A4. Często otrzymywałam od niego takie miniaturowe liściki, przeważnie zawierające informacje bibliograficzne lub inne wskazówki czy wiadomości. Wśród kolegów krążyły na ten temat liczne dowcipy. Bardzo oryginalnie wyglądały jego recenzje prac magisterskich. Wszyscy recenzenci przedstawiali opinie pisane wpraw na maszynie, a później już wydruki komputerowe, Profesor – pisane zawsze ręcznie i na kartce w małym formacie. Miał bardzo drobne, lecz wyraźne pismo, więc miniaturyzacja liter nie utrudniała czytania.

Mistrz był człowiekiem, który czuł się bezradny wobec urządzeń technicznych. O prawo jazdy nigdy się nie starał, uważał, że byłby złym kierowcą. W kuchni pozostawał bardzo nieporadny. Korzystanie nawet z najprostszych urządzeń sprawiało mu kłopot. Pojechaliśmy kiedyś razem na konferencję naukową. Mówił mi, że zabrał ze sobą materiały do jakiegoś artykułu, że przed obradami planuje jeszcze popracować. Prosił, żebym wstąpiła na chwilę do jego pokoju. Zapomniałam. Odszukał mnie około 21:30 i ponownie poprosił, żebym na chwilę do niego wstąpiła. Zdziwiona i zaintrygowana, poszłam. Już w pokoju powiedział mniej więcej tak: „Moja Marysiu, przywiozłem ze sobą budzik. Nastaw, proszę, na 5:00 rano, będę mógł parę godzin popracować. Nie jestem pewien, czy potrafię właściwie go nakręcić”.

Mistrz miał talenty towarzyskie. Spotkania z jego udziałem zawsze były udane. Anegdotali, wspomnieniami o wielkich ludziach, dowcipami sypał jak z rękawa. Był osobowością dominującą zarówno w pracy, jak i prywatnie. Widać to było na konferencjach naukowych, na posiedzeniach Rady Wydziału i w wielu innych sytuacjach. W spotkaniach towarzyskich zawsze przejmował inicjatywę i nawet nieśmiały czy usposobionych niezbyt przychylnie do biesiady potrafił wciągnąć do konwersacji. Jest też autorem jednego (jedyne?) wiersza, drukowanego w „Kronice” UŁ (1998, nr 4). Wiersza będącego laudacją prof. Tadeusza Ulewicza.

Wraz z odejściem Profesora Jerzego Starnawskiego na wieczny odpoczynek skończyła się ważna era w badaniach nad literaturą polską w UŁ. Zmarł człowiek – instytucja, znakomity uczony, wyjątkowa indywidualność profesorska, wybitny humanista, erudyta prowadzący dynamicznie badania na wielką skalę i dobrze uprawiający dydaktykę w uczelni, którą dosłownie traktował jak świątynię wiedzy.